

OŚRODKA

**CZESŁAW
JANCZARSKI**



**WIERSZE
WYBRANE**

WYDAWNICTWO

BRAMA GRODZKA

TEATR NN

**CZESŁAW
JANCZARSKI**



**WIERSE
WYBRANE**

WIERSZE
WYBRANE

CZESŁAW



JANCZRSKI

LUBLIN 2012

OŚRODKA

REDAKTOR SERII
PIOTR MITZNER

**CZESŁAW
JANCZARSKI**



**WIERSZE
WYBRANE**

WYBÓR I WSTĘP
HAŁYNA DUBYK

WYDAWNICTWO

BRAMA GRODZKA

TEATR NN

„Po obu stronach wołyńskiej drogi”

Dziwne są dzieje recepcji literackiej, skoro w „Bibliotece zapomnianych poetów” jest miejsce dla autora poczytnych książek, wznawianych po dziś dzień. Kilkuletni czytelnik, wertujący *Misia Uszatka*, niewątpliwie był bardzo ważnym adresatem pisarstwa Czesława Janczarskiego, niemniej jednak nie jedynym. W przed- i powojennym dorobku poety znajdują się bowiem utwory, które nie tylko stanowią solidną podstawę do rewizji hierarchicznego „parnasu literackiego”, lecz także, w nadzwyczajnej uważności autora dla najmniejszych spraw tego świata, wspaniale dopełniają jego twórczość dla dzieci.

Czesław Janczarski (1911-1971) urodził się w Hruszwicy na Wołyniu. Debiutował tomikiem poetyckim *Akwarelą* (1933), stanowiącym w pełni dojrzałą realizację poetyki regionalistycznej, sformułowanej przezeń trzy lata później w związku z powstaniem grupy „Wołyń”, której był inicjatorem. Grupa wprawdzie okazała się efemerydą, nie sposób jednak mówić o twórczości jej członków czy samego pomysłodawcy tego przedsięwzięcia z pominięciem tak istotnego epizodu. Poeci wołyńscy (co szczególnie jest widoczne w dorobku tych autorów, którzy przeżyli wojnę i pomimo niesprzyjających warunków kontynuowali pisarstwo w nurcie ukraińsko-wspomnieniowym), jako właściwie jedyna grupa literacka debiutująca w międzywojniu, świadomie i w pełni konsekwentnie uczynili z regionalizmu ukraińskiego swoisty program artystyczny, czerpiąc wyłącznie z osobistych wołyńskich doświadczeń.

Pierwsza wzmianka o zawiązaniu grupy poetyckiej pojawiła

się na łamach redagowanego przez Stanisława Czernika czasopisma w roku 1936:

Z inicjatywy Czesława Janczarskiego powstała regionalna grupa młodych poetów wołyńskich pod nazwą „Wołyń”. Młodzi poeci i entuzjaści pragną wnieść do poezji melancholijne melodie dumek, geometrię haftu wołyńskiego, bunt twarzy i myśli miejscowego ludu. W skład grupy wchodzi: Czesław Janczarski, Wacław Iwaniuk, Stefan Szajdak, Zygmunt Rumel¹.

Niewykluczone, że motywacja do wystąpienia grupowego, wspólnotowego wzięła się stąd, iż, debiutując w trudnych latach 30. XX w., naznaczonych wielkim kryzysem, mając wyraźnie sformułowaną wizję poetycką, szukał Janczarski sposobów do „zwielokrotnienia” oddźwięku. Potrzebował argumentu na poparcie tego, że od wielu lat jałowe poetycko-ziemne mają dość energii, aby zaistnieć nie tylko w pojedynczych tomikach autorów spoza wielkomiejskich koterii. Zamierzenie autora *Akwarelą* zostało osiągnięte – krytycy dostrzegli poetów wołyńskich, choć grupa nie mogła poszczycić się spektakularną działalnością.

Czesław Janczarski wydał przed wojną trzy tomiki oraz arkuusz poetycki u Hoesicka (obecnie – prawdziwy biały kruk). Zarówno debiutancki tom, jak i *Błękitna chustka* (1936), opublikowana w Bibliotece Grupy Literackiej Wołyń, zostały bardzo przychylnie przyjęte przez krytykę literacką. Drugi z kolei tom wierszy, *Imię na korze* (1934), sam poeta uznał za nieudany i nie uwzględniał go w odautorskich notkach biobibliograficznych, lecz właśnie wiersz z tego zbioru patronuje tytułowi niniejszego wstępu do wyboru poezji Janczar-

¹ *Noty. Regionalna grupa poetycka „Wołyń”, „Okolica Poetów” 1936, nr 2.*

skiego. Tekst *Po obu stronach wołyńskiej drogi* jest bodajże jedynym przedwojennym utworem, który udało się odnaleźć w archiwum poety². W sensie metaforycznym zaś określa sytuację autora, który debiutował „tekstem wołyńskim” i „tekstem wołyńskim” pożegnał czytelnika. Wprawdzie do pewnego stopnia wszystkie powojenne tomy poetyckie Janczarskiego: *Wykrój liścia* (1957), *Dzbanek i źródło* (1960), *Wiersze z natury* (1966) oraz *Portret z gałązek i ziół* (1970) stanowią na płaszczyźnie tematyki i obrazowości zwielokrotnienie najważniejszych cech debiutu, jednak to ostatni z nich stał się konsekwentną i ostatnią wędrówką przez zakamarki pamięci wołyńskiej, symboliczną „drugą stroną”, a właściwie, drugim krańcem wołyńskiej drogi.

Wojna zastała poetę w Warszawie, gdzie w latach 1934–1938 studiował filologię polską (w tym okresie zbliżył się do poetów kręgu Czechowicza), następnie zaś pracował jako dziennikarz w Polskiej Agencji Telegraficznej. Po opuszczeniu stolicy we wrześniu 1939 roku Janczarski udał się na Wołyń, do domu rodzinnego, z którego był zmuszony ewakuować się do Lwowa. Od 1941 roku przebywał na terenie Lubelszczyzny, po wojnie osiadł w Warszawie.

Wybór poetycki zawsze jest swego rodzaju przekrojem. Pewne dysproporcje w prezentowaniu tekstów z różnych okresów nie są podyktowane niedocenieniem juveniliów, lecz chęcią pokazania dzieła Janczarskiego jako jednorodnej całości. Przedwojenny Wołyń poetycki autora *Akwarela* nie stał się bowiem w jego dorobku jednorazową formułą czy ozdobnikiem literackim. Zresztą poeta był w całej swej twórczości wierny nie tyle poszczególnym motywom i tematom, ile określonej wrażliwości – literackiej, ale także zwyczajnie ludzkiej. W przypadku jego twórczości dla

² Archiwum prywatne Marii Janczarskiej-Bogackiej.

dzieci, która znalazła najpełniejszy wyraz w utworach powojennych, jednorodność tonacji emocjonalnej jest podyktowana specyfiką adresata. Co ciekawe, siostra poety wspomina, że „lgnęły do niego dzieci” i że młodzieńki Janczarski pisał dla maluchów sztuki teatralne, które były wystawiane na terenie dworku rodzinnego³, co pozwala przesunąć cezurę debiutu operującego taką poetyką na okres znacznie wcześniejszy, niż wskazywałyby na to źródła bibliograficzne. Jednak w przypadku liryki osobistej dochodzą do głosu inne jeszcze względy.

Oczywiście, pewnym uproszczeniem jest stwierdzenie, że powojenny dorobek Janczarskiego pozostał wyłącznie w obrębie obrazowania wołyńskiego. Tematyka wydaje się temu przeczyć, ale umiejętność dostrzeżenia przez poetę najdrobniejszych i wydawałoby się zupełnie pospolitych okruczeństw istnienia wskazuje na wyraźną genealogię domową, genealogię ukraińską. Postawa baczniego obserwatora otaczającej go rzeczywistości, opisującego, a zarazem współprzeżywającego, zacierająca granicę pomiędzy podmiotowością a przedmiotowością, została przez Janczarskiego podniesiona do rangi filozofii twórczej już w tekście *Gdybym miał talent malarski*, otwierającym debiutancki tom. Głębokie przekonanie o samoistnej wartości obrazów wołyńskich pozwalało poecie unikać gradacji znaczeń – istotne jest dosłownie wszystko: „[...] i ludzi i ich chleb/ I chaty białe, wiśniowe sady/ I psy na łańcuchach kudłate”⁴, a przeświadczenie o ubóstwie języka jedynie wzmaga „wyobraźnię wzroku”, pozwalając na konkretyzację niewypowiedzianego.

³ M. Grekowicz-Rakowska, *Wspomnienia z Wołynia i dalsze dzieje Rodziny*, Warszawa 2007, s. 14, 16.

⁴ Cz. Janczarski, *Gdybym miał talent malarski*, [w:] tegoż, *Akwarela*, Warszawa 1933, s. 5.

Świat przedstawiony nie jest budowany przez wydobywanie elementów zwyczajowo kojarzonych z malowniczością godną poetyzowania. Uwaga Janczarskiego skupia się nie tyle na erupcji kwitnienia, objawiającego urodę ziemi, ile na stanach pośrednich, które swoją skromną obecnością nie potrafią przykuć estetyzującego spojrzenia: „[...] malowałbym [...] nawet róże przekwitłe/ I badyle przekwitłych słoneczników”⁵. Chwył ten uzasadnia też oszczędność w stosowaniu porównań – eksponując w opisach elementy najprostsze, wyzbyte stereotypowych znaczeń, nie musi poeta zestawiać ich z pojęciami z innego porządku. Bronią one swej bezbronności pozaestetycznej samą przynależnością do świata natury.

Natura jest w utworach Janczarskiego wszechobecna, lecz w swej esencjonalności – zawsze skonkretyzowana. Prostota i uczciwość wobec własnej pamięci staje się gwarantem oryginalności, która jest wolna od wszelkich stylizacji. Warto spojrzeć na twórczość poety pod kątem odejścia od oswojonej konwencji opisu do peryferii wrażeń „podprogowych”⁶. Janczarski (zarówno w tekstach powojennych, jak i w znacznej części utworów późniejszych, ze szczególnym uwzględnieniem ostatniego jego tomu) przede wszystkim snuje się po opłotkach wołyńskich wsi i miasteczek, ale topografia nie jest tu natrętna i dosłowna. Wręcz przeciwnie, w konkretnych obrazach i przestrzeni kryje się niedopowiedzenie, jakby poeta wahał się, czy jednoznaczność opisu nie uszczupli poetyckiej wielopłaszczyznowości pamięci. Stąd ostrożność sygnalizowana zaimkiem nieokreślonym w funkcji przymiotnika (jakiś, a więc jaki?):

⁵Tamże.

⁶Określenia tego użył Bolesław Miciński w recenzji z młodzieńczego tomiku Janczarskiego: „Wiersze [...] zdumiewają precyzyjnym odtworzeniem całego zespołu nieuchwytnych, podprogowych wrażeń”. B. Miciński, *Norwości poetyckie*, „Prosto z mostu” 1935, nr 32.

Gdy zielona nowina
drzewa i ziemię utka
wtedy – nie wiem dlaczego – przypomina
mi się dzieciństwo:
jakiś staw pokryty rzęsą, dziurawa łódka,
wysokie czuby pokrzyw: ostry zapach i obawa;
pod płótem schówek w miękkiej żółtej glinie,
dużo, dużo pokrzyw i jakaś bryczka
nieokreślono-żółtawa.
Wreszcie psie miękkie kudły u policzka.
Czereśnie kwitnące: słodki głowy zawrót
i jakiś bardzo kochany kompot z rabarbarum⁷.

Po opuszczeniu Ukrainy Janczarski nigdy nie odwiedził rodzinnych stron. Wiedział o splądrowaniu rodzinnego dworu, pożegnał świat dzieciństwa, wydawałoby się bezpowrotnie i całkowicie. Nie kultywował sentymentów kresowo-ziemiańsko-szlacheckich, nie opowiadał najbliższym dziejów tamtego umarłego świata, a jednak to ziemia wołyńska stała się dla poety sumą doświadczeń sensualnych. Przyroda i krajobrazy są wyrażane przez jednorazowe ukonkretnienia, które z jednej strony pełnią funkcję synekdochy, z drugiej zaś – stanowią wyraz każdorazowego zdziwienia doskonałością natury:

Ile deszczów
a jakbym pierwszy raz
strząsał z liści chłodne krople⁸.

Ostatni tom Janczarskiego zaludniają bohaterowie jego wołyńskiego dzieciństwa w konkretności twarzy, imienia i nazwiska. Jedyne to bodaj odstępstwo od poetyki debiutu – ani-

⁷ Cz. Janczarski, *Wspomnienie dzieciństwa*, [w:] tegoż, *Błękitna chustka*, Równe 1936, s. 17.

⁸ Cz. Janczarski, *Grzybobranie*, [w:] tegoż, *Dzbanek i źródło*, Warszawa 1960, s. 8.

mizowana natura, pełniąca dotychczas prawie bez wyjątku funkcję podmiotu lirycznego nie tyle została zredukowana, ile zyskała dodatkowych bohaterów. Można, rzecz jasna, czytać *Zbieranie kminu* czy inne teksty z tomu *Portret z gałązek i ziół* z literaturoznawczym dystansem do świata przedstawionego, jednak odautorska nota wstępna przesuwając prawa poetyki jedynie w obszar środków stylistycznych, a prawa pamięci pozostawia w samym centrum tych ukraińskich, wołyńskich, a przede wszystkim na wskroś ludzkich tekstów:

Niełatwo jest oddać – rysując słowem – barwną, bogatą, skomplikowaną i dramatyczną treść (krajobrazu, twarzy, myśli, obyczajów), jej koloryt i nastrój.

Czuwałem, by nie sprzeniewierzyć się prawdzie, nawet wówczas, gdy chodziło o drobny szczegół, chciałem, by wszystko w tych wierszach było autentyczne nie tylko z imienia i nazwiska.

„Portret z gałązek i ziół” to skromny dowód wierności dla mojej ziemi, wdzięczność za mitologię, jaką jest jej obraz w pamięci. Każdy z nas ma taką swoją okolicę, do której wraca myślą po latach, przepiętny wdzięcznością za pierwsze wzruszenia⁹.

Oczywiście, nie są to jedyne „portrety” literackie w utworach Czesława Janczarskiego. Natura i człowiek, człowiek w naturze oraz natura w człowieku definiują całą twórczość poety i stanowią o jej wyjątkowości zarówno przed- jak i powojennej. Autor *Wykroju liścia* nie zabiegał o honory i uznanie. W połowie minionego wieku, będąc jednym z najpoczytniejszych autorów w kraju (chodzi o literaturę dla

⁹ Cz. Janczarski, *Od autora*, [w:] tegoż, *Portret z gałązek i ziół*, Warszawa 1970, ss. 5-6.

dzieci), nie umiał bądź nie chciał wykorzystać swej pozycji do promocji tekstów, stanowiących drugi, a nie mniej ważny nurt jego twórczości. Życzliwe recenzje towarzyszyły kolejnym powojennym tomikom, były to jednak pojedyncze głosy, które nie zdołały znacząco wpłynąć na kwestię recepcji poezji Janczarskiego. I kiedy w opracowaniach, dotyczących tamtego okresu, nie pada jego nazwisko, kiedy w antologii *Współcześni poeci polscy: poezja polska po 1956 roku* brakuje tekstów autora *Błękitnej chustki*, nie jest to kontestacja wartości jego dorobku, lecz świadectwo ulotności pamięci czytelniczej. Starłam się wybrać do druku te teksty Czesława Janczarskiego, które wydają się znaczące w rozwoju jego warsztatu pisarskiego, tworzeniu miejsc centralnych, w obrazowaniu i metaforyce. Nawet najwcześniejsze wiersze zdradzają świadome operowanie poetyką „naiwnego wyrazu”, niemającą nic wspólnego ze stylizacyjną prostotą. Usprawiedliwia to publikację tekstów, które nie stanowią szczytowych osiągnięć warsztatowych w liryce Janczarskiego, dają jednak świadectwo nadzwyczajnej wrażliwości poety i umiejętności ujrzenia w najprostszych przejawach życia istoty piękna i dobra. Teksty powojenne przedrukowano bez żadnych zmian – uwspółcześniając jedynie ortografię. W tekstach przedwojennych zmodernizowano pisownię łączną i rozdzielną oraz zapis końcówek narzędnika, zachowując zarazem autorską interpunkcję.

Dziękuję Pani Marii Janczarskiej-Bogackiej za udostępnienie archiwum jej Ojca i zgodę na przedruk tekstów.

Hałyna Dubyk

Z tomu *Akwarelą* (1933)

GDYBYM MIAŁ TALENT MALARSKI

Gdybym miał talent malarski
I pędzlem władał biegle,
Malowałbym krajobrazy
Wołyńskie – najpiękniejsze
I ludzi i ich chleb
I chaty białe, wiśniowe sady
I psy na łańcuchach kudłate,
Niebo, jak nigdzie błękitne
I dal tęskną jak dumka.
Malowałbym – gdybym umiał –
Nawet róże przekwitłe
I badyle przekwitłych słoneczników.
A do ram brałbym wzory
Z ukraińskich haftowanych ręczników.

TŁOCZNY TRAWNIK

Pod parasolem marchwi
Legł żuk w pancerzu czerwonym.
Gorącym zieje wielki tłoczny trawnik.
Mrówki wciąż czymś zajęte
Krążą w różne strony.
Czuć cząber i miętę.
Z przekwitającej róży opadł jeden listek,
Zawisł na chwilę na nitce tęsknoty.
Niebo dziś takie piękne, błękitne i czyste,
A na nim baldach marchwi i motyl.

Z tomu *Imię na korze* (1934)

PO OBU STRONACH WOŁYŃSKIEJ DROGI

Ant. Knollowi

Jeśli jedziesz drogą wołyńską,
Albo Polesiem,
To zamiast kłąc niewygodne mosty
W imię słowa: postęp,
Zwróć uwagę na rzadki kolor nieba:
Soczysto-niebieski latem, seledynowy w jesień,
A nade wszystko oddaj podziw wołyńskim

falistym pagórom:

Jedziesz dołem i górą,
Łąką, mostem,
Pszeniczyskiem,
Mijasz brzozowy las i uroczysko,
Jakiś kurhan zorany i samotną sosnę.
Po bokach drogi rosną strzeliste bodiaki –
Gdzie indziej nie zobaczysz takich.
Kłoni wiatr przed tobą dorodnych pszenic czuby –
Nasza nadzieja, chluba!

Z tomu *Błękitna chustka* (1936)

WSPOMNIENIE DZIECIŃSTWA

Gdy zielona nowina
drzewa i ziemię utka
wtedy – nie wiem dlaczego – przypomina
mi się dzieciństwo:
jakiś staw pokryty rzęsą, dziurawa łódka,
wysokie czuby pokrzyw: ostry zapach i obawa;
pod płotem schówek w miękkiej żółtej glinie,
dużo, dużo pokrzyw i jakaś bryczka
nieokreślono-żółtawa.
Wreszcie psie miękkie kudły u policzka.
Czereśnie kwitnące: słodki głowy zawrót
i jakiś bardzo kochany kompot z rabarbarum.

RODZINA PSIA

W budzie, na końcu podwórza,
Gdzie powojów i ostów oko wabi przepych,
Przyszło na świat dziś z rana
Czworo szczeniąt ślepych.
Jedno szare jak zając, drugie z białą łatą,
Trzecie żółte, a czwarte w sam raz Burek-tato.

Suka ma boki zapadłe,
A oczy jej błyszczą miłością i dumą:
Takie piękne moje dzieci
I jakie mądre, rozumne...
Ten z łatką jak rozkosznie na bok się przewala,
A żółty! Ach ten żółty już łapki powalał.

A najwięcej suka kocha tego,
Co ma tę plamkę jak gwiazdka na czole,
Bo ten jej chwile przypomina
Z Burkiem, przy stodole...
Burek z pogardą teraz patrzy na szczenięta;
Nie zna ich, on o niczym dawno nie pamięta!

PO DESZCZU

W górze wyrzała plama błękitna.
Chmura pędzi na zachód niosąc deszcz w swym łonie
Z rynny krople uderzają w bruk rytmicznie,
W rynsztoku brudnej wodzie mucha tonie.
Ozonu nie czuć w powietrzu – deszcz był bez błyskawic,
Taki prawie jesienny, dokuczliwy, ponury.
Tylko trawę zmył na skwerach i kałuże zostawił
I strumyki szemrzące chórem.
Wróbel mokry strząsa z siebie krople zawadiacko
Siedząc na środku jezdni – obok policjanta.
Miliony okruszyn czuć: pachną placki!
Dżdżownicę rozduśił ktoś na plantach;
Leży różową wstążką na czarnej płachcie żwiru –
Requiescat jej śpiewa kropla niewsiąknięta.
W przeciwległym oknie dojrzewa wpółczerwony pomidor.
Widzę go teraz, a nie zauważyłem przedtem.

Z tomu *Wykrój liścia* (1957)

MAŁY DOMEK

Nad szarą symetrią ulic
liliowe płomyki skrzypiec jak szloch.
Od północy polarne psy smagane błękitem
w Wiśle topią kudłate zmęczenie.
To nie nastrój:
ten żal jak niedopałek w koszu
to tęsknota za czymś,
co z dzieciństwa szło.

Wiem już, że nie dla mnie tokuje ten kamienny gryf,
a tylko setki pyłków usypiają godzinami fontannę serca,
melodia skrzypiec coraz wyżej się kołysze,
coraz słabiej lśni –
już nie słyszę.

21

I tylko czasem to zwykłe szczęście na przedmieściu,
kiedy zachód białe zapali firanki –
skrzydła piosenki zaszumią
na srebrnych liściach jabłonek.

Na peryferiach szczęścia
daleko od gwaru
domek buduję,
mały domek.

OKOLICA POETY

Krokom odebrać można siłę,
sercu nadzieję,
oczom światło.
Uschnie drzewo przegniłe,
skończone dzieje –
zabić jest łatwo.

A ja przecież żyję
i wiersze piszę nawet,
jak ptak na wiosnę gniazdo wiję,
piórka zbieram i trawę.

Każde słowo i zdanie
drżące, niczyje
podnoszę, chucham na nie:
czy mi ożyje?

Każdy dźwięk, każdą nutkę
podnoszę jak ziemi grudkę,
zbłąkany blask księżyca,
szmer, co w trawach się chowa –
i to jest okolica,
którą poznaję od nowa.

PRÓBA AUTOBIOGRAFII

Oczy miałem jasne,
radosny byłem jak zielony liść.
Wiersz mój był jak ćma,
która szuka gwiazdy.
Pytałem: dokąd iść?

I tak, nie widząc z daleka
groźby ukrytej w rozpadlinach chmur
ani wilczych dołów na równej drodze,
ani wilczych oczu w twarzy człowieka,
nie mając więcej wiedzy, niż ma jej źdźbło trawy,
szumiałem jak źdźbło na wietrze, bez obawy.

I kiedy uniosłem w rękę
pierwszą blaszkę z przeciwnotniczego pocisku,
pochyliłem się od grozy i lęku,
w oczach lusterko prysło.

23

Wlokłem teraz, jakby z życia wydarte,
żałobne noce i dni,
człowiek – wyrwane żyto.
Odebrano mi przyjaciela i spalono dom,
wyszadzono, dotkliwie pobito.
Potykałem się o rysy na pękniętym szkle.

Z wędrówki tej wyniosłem czyste ręce
i iskrę, która była we mnie jak w krzemieniu.

Za widnokregiem pierzchający cieniu,
nie wracaj.

Oczy moje pojaśniały na nowo,
przytulam główki dzieci z miłością niezwykłą,
odrastać zaczyna we mnie zielony liść.

Liść ten jednak ma inny wykrój.

DO K...

Gdyśmy błękitny tynk nieba łupali,
spałaś znużona, chmuro-panienko,
zraniona gałązką malin.

A las, pod skrzydłem wiolonczeli,
kołysał się i polny konik
sygnalizował tajne wieści.
Stałbym się może tylko pieśnią,
gdyby nie ciepło twojej dłoni.

DZIECIŃSTWO

Czasem jakiś zakątek zielony,
skręt rzeczki,
stok górki,
słoneczny zapach macierzanki
lub wiatr pachnący lepiechem –
i to wystarczy,
widzę matkę,
w koszu niesie ogórki,
a ja drepcę za nią,
ciągnę kopru wiechę.

I śmiech po prostu bierze,
byłem jak skrzydło motyla,
pyłku powłoczka lekka,
jeszcze nie starta.
Mówią – wierzę,
do psa, do konia, do człowieka
szedłem bez lęku,
odchodziłem bez skargi.

Niech wiesz ten radość wypowie,
pyłek na skrzydle,
zapach na kwiatach,
bieg rzeczki,
gdy słońce mego dzieciństwa,
znów po czterdziestu latach,
znalazłem w spojrzeniu, w mowie
mojej córeczki.

PORTRET CÓRECZKI

Moja córeczka
ma duże, wesołe oczy,
malinowe usteczka
i bardzo cienki warkoczyk.

Chodzi, a właściwie biega
do klasy pierwszej.
To mój najlepszy kolega.
Dla niej serce i wierszyk.

Najbardziej lubi lody,
piosenki, georginie
i bez.
Zachód słońca na Bukowinie
potrafi ją wzruszyć do łez.

Mówili, przewidywali:
Będzie z nią kłopot, zobaczycie.
A jej literki jak lale
na błękitnych drózkach w zeszycie.

Wkłada przed lustrem berecik,
wsuwa książki do teczki.
A ja maluję portrecik
mojej córeczki.

NIE MIJAM

Nie mijam płaczu dziecka,
skrzywdzonego kota nie mijam
i psa z kulawą nogą,
ani motyla leżącego na szynach.
Nie mijam ptaka z połamanym skrzydłem
zerwany kwiat odnoszę do domu,
nad zbłąkaną mrówką się schylam.

I gdy słyszę w gwiazdach
szum odrzutowca,
myślę:
dlaczego w epoce atomu
ludzie tak często mają podstępny krok kocich łap,
psim zębem patrzą na siebie wrogo?

Widzę za oknem dzieci:
zaczynają już one rozumieć ten wiek.
Czy nie mijają,
czy odnoszą do domu,
czy schylają się?
– myślę, dziwną zdjęty trwogą.

MOŻE KTOŚ...

Chciałbym, żeby jakaś dziewczyna
albo staruszek,
a może nawet dziecko,
którzy widzą i czują jak ja,
ale nie potrafią tego opisać,
pomyśleli, czytając mój wiersz:
i ja tak się wzruszam,
znajome słowo słyszę,
wiersz ten mi przypomina...

Może ktoś westchnie,
uśmiechnie się życzliwie,
pomyśli: tak prawie
widziałem kiedyś ranek wśród liści –
złote ważki słońca siadały na trawie,
naprawdę poeta nie zmyślił.

29

Byłaby to wielka nagroda,
o której marzę zbyt nawet śmiało,
patrzac z daleka w okna domów,
gdzie, być może, mieszka nieznajoma dziewczyna,
staruszek albo dziecko,
którzy mogliby powiedzieć:
nie niszczyj tej kartki, szkoda,
jest na niej słowo znajome.

Z tomu *Dzbanek i źródło* (1960)

CISZA

Cisza

jakby głos trąbki zatrzymany w biegu
że nawet rogi jelenia
zmięły się naraz w suchy konar
ptak wtopił się w niebo
dym strzału w obłok
i tylko echo strąca
gałązkę śniegu
kołysze igliwie

Biorę tę śnieżną ciszę
ciszę dobrą
biorę żarliwie

Z WAKACJI

Pagórek podniósł się o turkot wozu
a potem naraz opadł
w dolinie zamilkł
pod liliową mgłą smótek

I tylko jeszcze małe ptaszki na świerku
łuskały ćwierkanie
pająk spłoszonym długonogim strachem
wbiegł na kreci pagórek
przystanął
i znikł

Prosto do oczu
prosto w ramiona
pogoda szła

Żeby jej nie spłoszyć
stałem się cichy i niepozorny
zmieniałem krzak róży
w mały polny obłok

I naraz znikła mi tuż obok

Obłok był przekreślony
czarną kreską
krakania wrony

NIEDOBRY WIECZÓR

Małe sosenki gęstwa
i kręty strumyk nieba
w górze księżyc jak puzon
wędrujący trębacz

Zza gałęzi nas śledzą
ciemne oczy nocy
ach te oczy nie wiedzą
jak to się wszystko skończy

Las jest jak ciemny wagon
niesie nas gdzieś po torze
światło bladością nagą
zawisło na buforze

I wagon naraz skręcił
w noc bez oczu bez toru
zostawić w niepamięci
zostawić w niepamięci
światło tego wieczoru

Z WĘDRÓWKI

Zasp tu nawiało puszystych czap
całą noc latały za oknem
białe sowy śniegu

A tutaj iskra skrzyp olchowych szczap
cień twoich małych kolan
łaska noclegu

O świcie rdzawy jastrząb spadnie na las
pod niebem zwisającym
z zajęczych łap i uszu

Obejrzę się na szyby blask
na komin dymu
twój biały kożuszek

DESZCZ O ŚWICIE

Wychylam z gwiazdy jak z piosenki
kudłaty łeb w krawacie nocy

po cichu zbliżam go do ręki
zapalam w drzewach sowie oczy

Łasi się klarnet mgła bezbarwna
a bęben wbija ćwiek po ćwieku

wodzi mnie grajka po moczarach
doniczka wierzby pod powieką

W doniczkach kwitły tulipany
srebrny pękł w nocy saksofonem

i płyną chmury jak organy
wiatr je popędza pies zielony

Gwiazdom wyrasta siwa broda
a księżycowi ośle uszy

wędruje milcząc po jagodach
niosąc piosenki róg po puszczy

A kiedy pęknie miód księżycy
i noc smolista zatrzepece

po oknach oczach i doniczkach
spłynie o świetle deszczu ocet

MOTYL

Motyl

cytrynowa chorągiewka pogody
w szklanej kuli zapachów
macierzanki mięty
usiadł na blasku szyn

I naraz

zapaliła się czerwona noc
chrzęstem kół wonią oliwy
dymem krętym
strąciła z nasypu szklaną kulę

Potoczyła się pękła

zadrżały łodygi i korzenie
w garstkę trwogi kurczą się ziarnka piasku
echo raz po raz uderza o pnie

35

Motyl poderwał się

trzepotał przez chwilę
kładąc skrzydła na huk i dym
znów usiadł na blasku

ZBUDZIŁEM SIĘ W ŚRODKU DNIA

Zbudziłem się w środku dnia
w białej skorupie dnia
nie wiedząc dokąd iść

I naraz zdjęty straszną trwogą
pomyślałem
nie pamiętam zapachu krajobrazu
ani jaki kolor ma trawa i liść
nie znam nawet pory roku
ani gatunku drzewa pod którym stoję

Jak góra chmur szedł na mnie niepokój

Przycisnąłem oczy dłonią
krzyknąłem
lecz krzyk mój nie miał tej siły
by przebić skorupę grozy i snu
ostrą igłą wbił się w krajobraz
boleśnie

Musiałem chyba drugi raz usnąć

Zbudziłem się
czy znowu za wcześnie

POWRÓT DO DALEKICH DRZEW

Na moich dalekich drzewach
na moich zatartych śladach
na dniach na słońcach spłowiałych
motyl siada

czarna chorągiewka z białą obwódką

I jakbym znów wracał do domu
z rozpalonymi oczami
z sercem co biegnie przede mną
żeby wyprzedzić spotkanie

Czy znajdę w lesie drogę
do znajomego mrowiska
a może nie ma już lasu
może tam rosną kamienie

37

Czy spotkam choć twarz znajomą
roślinę rów przy drodze
czy chociaż jedno drzewo
zaszumi dawnym szumem

Czy miejsce w którym ujrzałem
pierwszy raz gwiazdy i w którym
pierwszy raz trwogę jak kamień
beztrosko rzuciłem w ciemność
czy jest tym samym miejscem
kiedy tam mnie już nie ma

Z twarzą zakrytą rękami
jeszcze raz pójde w te strony
do moich zatartych śladów
do dni do słońc spłowiałych

Czy będę miał odwagę
by odjąć dłoń od twarzy
ach jeszcze zatrzepece
czarna chorągiewka z białą obwódką

TURKOT BRYCZKI

Czasem budzi mnie we śnie
turkot bryczki
potem słyszę wyraźnie jak przystaje

Otwieram okno
na przebudzone ogrody
na łąki moich spacerów
zrywam brzask polnej różyczki
idę dalej

Idę aleją która się zwęża
jak kocie oko

W lipach nade mną
toczą się zielone koła szumu
ostrzegają

39

pewnie tam staw tam topiel

A ja już biegnę
przez trawy przez szuwar czarny
czy zdążę

I naraz rusza bryczka
wolno się toczy
jak do boecklinowskiej wyspy umarłych
która wisiała kiedyś
w starym dworze

NIE JESTEM SAM

Kiedy gałęzie upału z miedzi i sosny
wiszą ciężkie i złote
kiedy pochylam się
jakbym dźwigał
wiadro napełnione po brzegi

nie jestem sam

Zanim zbliżyłem się o krok
mrówka napotkawszy moją stopę
zmieniła kierunek biegu

szczawie i mięty
zaszeleściły cieniem i chłodem

krzak leszczyny niebo przez liście przesiewał
z traw wyrzało oko wody

Jestem w głosie kukułki
w pełzaniu ślimaka
nawet w popłochu mrówki
w wielkim złotym oku upału
w drganiu jego płam
schylony pod ciężarem obecności

nie jestem sam

NA MAJOWYCH ROWERACH

POETA:

Wąską aleją
gdzie zielone szprychy topól
uderzają o napięte niebo
i chmura uczepiona gałęzi
skrzydłem jak chustką trzepoce
jadą na majowych
na majowych rowerach

Zielone pagórki
lekką falując
unoszą się na dłoniach
to znów się zapadają
tworząc łąki okryte kwiatem
i cieniem

Czasem wiatr zagląda w oczy
w uśmiechu unosi brwi
czasem niebieskim szalem
okręca szyję

A znów czasem niebo
zadudni na mostku
i pluśnie jak srebrne echo kuli
o strumień

ON:

Uśmiechasz się to widzę
ale widzę także na dnie źrenic
może moim tylko oczom widoczny
mały skośny cień

Czy zostawiłaś w domu
wszystkie codzienności
uprasowane chustki
równo ułożone na półce
podlane kwiaty w doniczkach
wyłączone żelazko

Może ta droga którą mijamy
i kamienie i znaki
napełniają ciebie taką dziwną trwogą

ONA:

Spójrz mijamy lasek
młode brzozy przybiegły
na brzeg drogi
bądź cicho przyglądają się nam
srebrzystym okiem
potrzęsają wiatrem liści

Nie myślę ani o chustkach
ani o doniczkach ani o żelazku

I w ogóle jak tu myśleć
gdy myśli się o wielu sprawach na raz
o niebieskim czerwonym żółtym
zlewają się wszystkie kolory
i staje się bezbarwna pustka

W takich wypadkach
lepiej nie myśleć wcale

Spójrz na brzozy
szeleszczą teraz do siebie
mówią o nas

ON:

A czy mówią dobrze czy źle
może to ciebie martwi

Może chciałabyś znać prawdę o sobie
tę jedną jedyną prawdę
której sama nie jesteś w stanie poznać
i sądzisz że powiedzą ci ją
smukłe cyganki brzóz

ONA:

Nie chcę znać prawdy o sobie
boję się że okaże się mniej ciekawa
niż nieprawda o innych

43

Zamiast poznawać prawdy i nieprawdy
zamiast stawiać kropki
po każdym zdaniu
wołę znak zapytania
którym jest obłok nad topolami
ciemny chłód pod mostem
biała gwiazdka stokrotki
ukryta w trawach
których nikt nie zmyśla

Ale nie pędź tak proszę
chyba nie chcesz prześcignąć
jaskółek w locie

ani głosu polnych dzwonek
napinasz nerwy
i przenosisz je
z mięśni na pedał roweru
widzę to również
z dziwnego układu twoich warg
które są jak gdyby wycięte
z wysokiego szumu drzew

A poza tym nie mogę nadążyć za tobą
nie jestem ani wiatrem
ani burym cieniem sarny
ani strzałą wilgi
jestem mała i krucha
z porcelanowej piany

ON:

Moje wargi nie są z szumu drzew
ani z twardości skał

Biło mi mocno serce
gdy słońce spaliło mój dom
zamierało mi serce
w dumnej trwodze
gdy gwiazdy spadały
z oczu matki
na księżycowy krajobraz
krecich pagórków
łomotało mi serce
kiedy pierwszy raz
usłyszałem nutę twoich włosów
moje wargi mają wykrój serca

ONA:

Ach po co tak mówisz poważnie
przecież nie chciałam cię urazić
nie ciskałam kamyka
do ogrodu twego serca
powiedziałam rzecz błahą
a ty o słońcu o gwiazdach o księżycu

ON:

O sercu

ONA:

Tak o sercu
ale ono jest jeszcze wyżej
niż słońce gwiazdy i księżyc
tak wysoko
że go już nie widać

A tu spójrz
mijamy leśną polanę
która spadła przed chwilą z nieba
jeszcze motyl zawisł
na przezroczystej nitce
trzeponce nad trawą
ptak dziobie ziarnka rosy
mech schronił się w cienie pni
i zamknął trwożnie oczy

ON:

Masz słuszność
ten patos nie był potrzebny

I przecież nie ma przed nami mety
więc po co ten pośpiech

Nie śpieszmy się i tak zdążymy
żeby uderzyć o kres horyzontu
żeby niebo zadzwoniło
wszystkimi dzwonami ciszy

A nawet proponuję ci
krótki postój
podoba mi się ta polana
otoczona troską ciemnych gałęzi
jak gdyby drzewa podawały nam ją
do oczu do ust
oto nakryty stół zapachów barw
dotknij go czułymi palcami
tu zieleń prawdziwie odświeżona
miękką jakby od niechcenia
ale agresywną

Dlaczego patrzysz tak dziwnie
czy byłeś już tu kiedy
czy znasz tę polanę
a może nie byłeś tu sama

ONA:

Śmieszny jesteś
i widzę zazdrośny
o
polanę

Śledzę ruch światła
gonię nieuchwytną w trawie
jaszczurkę nikłego szumu
dobieram jedno spojrzenie trawy do drugiego
słucham brzęku kropli
strąconej skrzydłem rosy
słyszysz jak cień pada pod stopy liści
widzisz jak wiatr zapala na najwyższych gałęziach
małe płomyki szelestu

Ach ty niedobry zazdrośniku
przecież nie warto tu się kłócić
przeszukaj lepiej trawę
leży tam gdzieś pewnie srebrna piszczałka
na której w nocy przygrywał
chór księżycowych blasków
zgubiona piszczałka
która być może zna
twoje i cudze pragnienia
gdy w nią dmuchniesz
wyfruną z niej świerszcze nut
i będą skakać po całej polanie

47

ON:

A czy nie będę podobny
do Fauna albo Satyra
gdy zacznę przebierać palcami po piszczałce
nie lubię mitologicznych figur
gdyż za bardzo przypominają mi
niektórych znajomych
starszych panów

Nie śmieję się
wiem że myślisz o mnie osobno
będę szukał piszczałki

O już jest
a więc może poznamy nasze pragnienia
podaj dłoń powrózę ci nutą

Jesteś pragnieniem moich liści
niedziela moich ogrodów
liściami moich pragnień
i ogrodem moich niedziel

Będziesz metą mojego pośpiechu
wiatrem moich dmuchawców
polnym dzwonkiem moich cisz

ONA:

Ładne to było
długo będę nosić w sobie twoje granie
nałapałam pełną dłoń srebrnych świerszczy
włożę je między świeżo uprasowane chustki

Ach a teraz wracajmy
czekają kwiaty niepodlane
w doniczkach ze smutnej gliny
trzeba też włączyć żelazko
i wiesz nie wiem
co powiedzą o nas drzewa
czy one istotnie słyszały wszystko
czy powiedzą o nas dobrze czy źle
smukłe cyganki brzóz

ON:

Wracajmy

POETA:

Wąską aleją
gdzie zielone szprychy topól
uderzają o napięte niebo
i chmura uczepiona gałęzi
skrzydłem jak chustką trzepoce
wracają na majowych
na majowych wracają rowerach

Z tomu *Wiersze z natury* (1966)

POWIŚLE POETÓW

Płyną chmury brzuchy śniętych ryb
wisły barka szara

harmonia prześwituje spod retmana
jak dotyk skrzydła spada
na dobrej na lipowej
w niebieskie oczy szyb

Poeta wraca do domu
marynarz i rybak
znad dymu unosi się warkot

W bramie sumiasta miotła
poety sweter pomarańczowy
albo mroku czarny warkocz

I harmonii już nie ptak
tylko cień chyba jeszcze
jednym susem ku zajęczej
ku blaskom wisły

Oto naprzeciw dwaj młodzieńcy
a spór o co
może o lot motyla

KRZEMIENIEC

Piwnice pachną chłodem
wiśniowym i chlebnym
na czarnej miotle chmury
zjeżdża ikwa nocy

Pijemy kwas w altanie
gdzie spłowił dach nieba
u wylotu zaułka
skrzypi nagrobek studni

Czarne profile cieni
suną pod ścianami
modlitwami szeleszczą
wśród brodatych ostów

Słońce zapadło w krzaki
na kamienną płytę
wdziera się macierzanka
drapieżnym zamysłem

i spływają powoli
żółte krople wosku

MIASTO DZIECIŃSTWA

Pamięci Zuzanny Ginczanki

Już wyrosło z mundurka
nasze miasto za krótkie
zbyt może szybko
przebiegło ulicą

Nie zdążyłem nawet dosięgnąć dłonią
gałązki malin

Tu w miętowym zaułku
za składem aptecznym
w czerwonych rękawiczkach
chodzi czarna dama
tkwią w mroku i w kałużach
kocie łby centaurów
ryby uciekły w niebo
przed tangiem milonga

A twoje okno było
wyrybane w niebie
kiedy pękły szyby
pozostała na chmurze
malinowa pręga

Z tomu *Portret z gałązek i ziół* (1970)

ZA NIEPRZETARTĄ SZYBĄ

Prawosławny
choć brodę nurzał w niebie
choć targał postronkiem dzwonnicy
okiem opatrzości gromił prosiaka
z którym ojciec diakon
zaplątał się u wrót

Nasz był niedzielny pański
pochwalony bryczką
i niewidoczny prawie
w łacinie kadzidła

Rozklekotaną kładką szedł do niego michał
bił pokłony w konopiach gawryło
pomykał także diabeł w niemieckim krawacie
nawet z za beczki z naftą zerkał chaim kobyłański

53

Za nieprzetartą szybą
kraj dwu wielkich nocy

Może się tylko przyśnił dziecku
gdy w witrażach wiklin
płakały krzykiem czajek
psie czy sarnie oczy

NAJSTARSZY CZŁOWIEK

Horyzont

gdy wskazać batem
układał się w kształt kaukaskich gór
złotem starej cerkiewki dzwonił

Najstarszy człowiek manocha hryćko
czapkował polom
patrzac
spod posiwiątych brwi słonecznika

Czapkował żytom
które cwałowały pod pagórek
kładac zielone grzywy na wiatr
księżycom wielkim jak jabłka
zawieszonym pod strzechami sadów
i rozważnej ciszy pasiek

Dziwny kraj
gdzie nawet niebo jest jak piszczel
ma chytrą bródkę z łopianów
gdzie trakty chłaśnięte batem
zapadają się w trawy pod ciężarem ech

Najstarszy człowiek manocha hryćko
kość z jego kości
czapkuję ziemi
do której płynie mój pokorny zmierzch

PIEŚŃ I NÓŻ

Wieczorem wiśnie kwitły na trzy głosy
łasiła się przy nogach siwa suka zmierzchu
i ogromniał stodołą wiatr ukłuty ostem
płynie rzeczka rzeczulka z wiśniowego sadu

Wieczne niebo w chustkach pod bluzkami dziewcząt
skrzypi w studni tam mówią orły wodę piły
gdy chłopcy zagarniali trawę szorstką dłonią
jakby laską o wrota starzec bił się w piersi

Na cmentarzu daleko beczało kozłátko
cięte nożem spojrzenia białym sierpem pieśni

OBYCZAJ

Kijanką oklepamy
świętecznie i zgrzebnie
ręcznik z wiśni
i bochen na nim
w progu powitania

Kłania się
lecz jak godnie
zbyt pochlebny ukłon
nawet pies połaje

Słonecznik kątem oka spojrzysz
parsknie nagle śmiechem

Miły gość lecz to przecież
nie cerkiewna świeca

Niskie gałęzie w sadzie
kładą cień milczenia
przeziera przez nie słońce
złotym korowajem

A bywa
wpadnie słowo
aż na dno kwaterki
i zanim przejdzie od ręki do ręki
napłącze tyle powoju
co śliny

Wtedy
pod korą błysnie oko
jak toporek w sieni
będzie się chytrze jarzyć
w kminach i bylicach

Wydłużą się miedzami
morgi dziesięciny

Żeby się potem objąć
za bary z krzemienia
i ponieść pieśń szeroko
nad gałązki pasiek

W powietrzu z kwiatów wiśni
taki tu obyczaj

ZBIERANIE KMINU

Niebo w liściach łopianu
zszarzało u sztachet
naniósł tego pyłu ze szpakowa z glińska
z tynnego i omelan
ze szczytu piatyhor

A ten hruszwicki
łepki jak miód macierzanek
pełźnie cieniem po chmielu
pod baldaszek kminu

Wyszły baby
już niebo do fartuchów niosą
a młodsza michalczuków
z chustki zrywa szpaka
tam gdzie niemy michałko
utyłany w makach
brzozy krowich ogonów liczy
ślini palce

Powietrze jest tak ciche
czasem burczy trzmielom
bezpieńskie bo niesiane
niedzielone miedzą

Choć biedne
ale przecież za pradziadów wiedzą
pachnie bezkarnie
pachnie całą izbą kminu

TALEMON

Z mozołem wbija krzywe palce
w parcianą drogę w tyko między
kuśtyka
ślina spływa nitką
z przekwitłej wargi słonecznika

Kamienowany grudką gliny
talemon greczyn zza sztachety
wygraża pięścią
boża maty
a pod koszulą martwa pliszka

Badyle mu się pomyliły
i ruble morgów w lisich czapach
kiedy go księżyc przez łeb dzielił
po garnku
w zeszłorocznych liściach

Pomiłuj szepcze
kłakiem brody
w krąg nieomylny horyzontu

Talemon idzie
po skorupy
greczyn łopianu pomyłony

STACH

Z rodu łepiun
tylko imię z polska
zachrypło mu w grdyce
stach

Ten dziada i wnuka
ostrzyże pod donicę
krowie bielmo zdmuchnie z pyska
a pijawki od stawu
przystawi do skroni

Bywało nawet
słowem podeprze jak laską

Tak rosła jego sława
wędrując po traktach
skrzypiąc w wozach na suty
jarmark w warkowiczach

A on uśmiech miał czuły
jak brzozowy listek
w oczach wierne
obłoków odbicie

Gdy ciągnął wieprzka
gdy pod niebo z liści
uderzała w rozpaczy
krzyku czarna krew

Gdy nóż ocierał z dymu
o szczecinę wiatru

Tak kończył obrzędy
godne sprawiedliwe
świtu świniobicie

KUPIEC ZBOŻOWY ICHEL

Wiatr rozwiewał za oknem
czarną brodę nocy
gdy szabasowe gwiazdki
zabłyły u szyb

I jeszcze do portretu
z zadymki czapa
huba nosa
i plecy zwalistych drzwi

Sobota
już nawet ziarno nie szeleści
wonią myszy

Księżyc jak złoty rubel
dostojnie
wschodzi w liściach wiśni

I jeszcze do portretu
w zapachu ryb
wiśniowa kapa
a nad nią
ślubny uśmiech
w kurzu sztucznych liści

Krząta się ryfka po ścianie
w cieniu peruki
hamanowych ciast
cienką nalewa arbatę

I jeszcze do portretu
kieszeń kamizelki
ile tam
parciany worków
furmanek
i słodki czarnooki szept
tate

OMELKO ŚPIEWA

Nogi z korzeni grabów
w dłoniach słoje drewna narosły

Omelko siedmiu synów prowadzi
urodzonych w agreście

Każdy z kromką razowca odkrojoną z poły
z konopnych gaci z obłoków
nie z roli

Psy zgrzytają w łańcuchach
i kłapią zajadle w stopy synków bosych

Omelko śpiewa
pieśń gorzką od piołunu
słodką od czereśni

Pieśnią kosili żeńcy łąkę
dziewczęta niebo plewiły
w pieśni

Konik się chwieje
kwaterka wódki dzwoni
o blaszany kantar

Omelko śpiewa
klepie się śmiechem po cholewach
kiedy w kolce nieba
wiatr wpłatał granatową
czapkę policjanta

KONDRAT I KAWALERKA

Pierzchają spod nóg trzepocą
krople motyli z kolein

Pieśń chybotąła się niepewnie
jak dwa skrzydła chwiała się na listku

Ten skubnie źdźbło z ogona pliszki
tamten kłaśnie dłonią w pośladek łopianu
a jeszcze inny końcem buta żart ciśnie
w kretowisko

Niedzielną kawalerka
łąkę przecina na ukos

Słuchajcie
teraz cisza pilnie stula ucho
i źrenice nad łąką rozwarły się z blaskiem

65

Kondrat mówi
otarłszy pot o udo brzozy

O spódnicach z głuchej pokrzywy
o bluzkach z szelestu siana
i dłonią na ciszy
już rysuje chętnie
wysmukłość paraski

MARYJKA I NIEMY MICHAŁKO

Milczy ziemia krzew ziele
nawet skręt machorki

Krztusząc się dymem śmiechu
kuksają pastuchy

Biegnij ty do pana
źdźbło osy wymień na przedni turecki
dla maryjki z perzu
za ulęgałkę wymień blaszkę u cygana

Sięgnij niemy michałko
w gwiazdy pod fartuchem

A on
choć w nim sok brzozy kipi
oczy ma z mgły i deszczu
stopy z chropawej gliny
witkę dymu poźółką
w palcach ściska

Sięgnij michałko
sięgnij po tę kępkę ziela

I naraz niemy okrzyk

Przygniótł kretowiska
pocwałował po ścierni
wdał się w ciszę pokrzyw

Po ciemną brew maryjki
sięga na dno miedzy

PANIENKA ZE DWORU

Cyranka przecięła skrzydłem niebo nad parkiem
aż do krwi

Pod strychami klonów i lip
jeszcze tylko wilga tajemniczo głosi

Wiju wiju tyś konika skradł
a ty siekierę

Może drwi

Zza parkanu
nie bliżej niż na końcu świata
nie dalej niż o tupot kusych stóp
chcą wyskoczyć pośpiesznie oczy
do kwasu porzeczek
do gawronów w klonach
jakby w pszczoł gorączce

67

Ach tam
perliczki grzebią w szeleście alejek
w oddechu drzew panienka przechadza się wolno
mgłę zgarnia w jasnej rączce

Trzeszczy gałązka żwiru
pies płoszy ogonem cienie głuchych pokrzyw

Wiju wiju tyś konika skradł

Więc cofają się oczy na środek gościńca

jakby krzyk wilgi w parku
brzmiał oskarżycielsko
i grudka gliny spada na czysty trzewiczek

A to dopiero mały barbarzyńca

ŚCIEŻKA DO PLEBANII DIACZKA LEONIDA

Okadził carskie wrota tęgi bas gorzały
liturgiczne srebro poczercił
zniżył się pokłonem u świec
żeby dźwignąć się znowu
świętym duchem pieśni

Potem
wypłowiła sutanną
przemknął ponad łysiną traw
przez cerkiewne podwórko

I już cicha plebania brzóz
jakby dotknęła strzechy stopa mchu

Tylko jałówka porykuje nad nią rzewnie
wieprzek pokrzywą chrząka
w grochowinach królik wiatru
szeleści

69

Pod parkanem
w krwawniki i mleczce
cisza cienki wbiła nóż

Ale oto syn diaczka
skrzypi już w brzozach
i z zieleni smyczków
z grochowin
z agrestu
wyprowadza melodię tak znajomą
jak gdyby w lustrze jakże wiernie
i jak serdecznie odbił niebo i wieś

Wieś przysiadła
jak stado kuropatw
otulona
skrzydłami strzech

Ćwierkały
wróble w obłokach
omiatanych z nieba
szumem drzew

Diaczek głowę przechyla
dyryguje ciszą i granie

Wtedy odezwała się córka

kołysana w gitarze
skrzydłem muchy

Żali się w piosence
że skrzydeł nie ma
choć przecież stopa jest bliska ziemi
i wierna

Diaczek przydaje taktu
a uśmiech ma taki
jakby słyszał szum gwiazd
jakby wyczuwał
ich taneczne ruchy

Jego twarz nad kopułą
w witrażu jaskółek
portret z gałązek
i ziół

I jeszcze przed wieczorem
zabuczał cerkiewny chór
w nim basy w futerkach trzmieli
ptaków połyskliwe dzwonki
trawy na przemian szepczą

Diaczek brodą podnosi melodię
dłońmi układa jej fałdy

Potem już jest noc
biała od księżycy i brzoź
przytłumiona za plebanią
piskiem dziewcząt

ŚCIEŻKA NA POLESIE

Wóz stanął jakby wbił się w osty
jaz zamknął nagle niebo deską
zsuwa się cmentarz zapomniany
pod piasek karłowatej sosny

Ostatnia ścieżka ścichła naraz
skrzypieniem kół zarosła chwastem
stąd nie ma wyjścia chyba księżyc
młyn czarny nocy wierzba czarna

Łódź płaskodenna ryba łodzi
gnije po tamtej stronie myśli
młynarz jak senny szum przy brzegu
konopie nóg zamoczył w wodzie

Porasta krzyżem mchów i pleśni
i nie zna nawet smaku soli
i gwiazda zgasła w oku dziecka
pod butem sosny piach szeleści

SPIS TREŚCI

„Po obu stronach wołyńskiej drogi” - Hałyna Dubyk 5

Z tomu *Akwarelą* (1933):

Gdybym miał talent malarski 15

Tłoczny trawnik 16

Z tomu *Imię na korze* (1934):

Po obu stronach wołyńskiej drogi 17

Z tomu *Błękitna chustka* (1936):

Wspomnienie dzieciństwa 18

Rodzina psia 19

Po deszczu 20

Z tomu *Wykrój liścia* (1957):

Mały domek 21

Okolica poety 22

Próba autobiografii 23

Do K... 25

Dzieciństwo 26

Portret córki 27

Nie mijam 28

Może ktoś... 29

Z tomu *Dzbanek i źródło* (1960):

Cisza	30
Z wakacji	31
Niedobry wieczór	32
Z wędrówki	33
Deszcz o świcie	34
Motyl	35
Zbudziłem się w środku dnia	36
Powrót do dalekich drzew	37
Turkot bryczki	39
Nie jestem sam	40
Na majowych rowerach	41

Z tomu *Wiersze z natury* (1966):

Powiśle poetów	50
Krzemieniec	51
Miasto dzieciństwa	52

Z tomu *Portret z gałązek i ziół* (1970):

Za nieprzetartą szybą	53
Najstarszy człowiek	54
Pieśń i nóż	55
Obyczaj	56
Zbieranie kminu	58
Talemon	59
Stach	60
Kupiec zbożowy Ichel	62
Omelko śpiewa	64
Kondrat i kawalerka	65
Maryjka i niemy michałko	66

Panienka ze dworu	67
Ścieżka do plebanii diaczka Leonida	69
Ścieżka na Polesie	72

Wydawca
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”
www.teatrnn.pl



Autor
Czesław Janczarski

Redaktor serii
Piotr Mitzner



Korektor
Joanna Pikuła

Skład, układ graficzny
Flora Nastaj

Druk i oprawa
Drukarnia Petit
www.petit.lublin.pl

Lublin 2012
ISBN 978-83-6104-36-7

MIASTO



POEZJI

OŚRODKA

WYDAWNICTWO



BRAMIA GRODZKA

TEATR NN